

ŚW. TOMASZ  
Z AKWINU



G . K . C H E S T E R T O N

ŚW. TOMASZ  
Z AKWINU

Tłumaczył dr Artur Chojecki



Warszawa 2022

*Przygotowano na podstawie wydania z 1949 roku,  
które ukazało się nakładem Księgarni św. Jacka w Katowicach.*

ISBN:

978-83-65546-93-7

Obraz św. Tomasza na okładce:

*Kamil Gałczyński*

Koncepcja artystyczna okładki:

*Paweł Toboła-Pertkiewicz*

Przygotowanie okładki do druku:

*Maciej Harabasz*

Wydawca:

Wydawnictwo PROHIBITA

Paweł Toboła-Pertkiewicz



[www.prohibita.pl](http://www.prohibita.pl)



[wydawnictwo@prohibita.pl](mailto:wydawnictwo@prohibita.pl)



Tel: 22 425 66 68



[www.facebook.com/WydawnictwoProhibita](https://www.facebook.com/WydawnictwoProhibita)

Wydanie tej książki,  
podobnie jak innych projektów wydawnictwa Prohibita,  
**NIE** zostało sfinansowane z pieniędzy podatników.

Sprzedaj książki w Internecie:

**multibook.pl**

KSIĘGARNIA INNA NIŻ WSZYSTKIE

Dorocie Collins  
bez której pomocy autor byłby  
bardziej niż zazwyczaj bezradny.



## **Słowo wstępne**

**T**a książka nie ma pretensji być niczym więcej, jak popularnym szkicem wielkiej historycznej postaci, która zasługuje na większą, niż obecnie, popularność. Cel jej zostanie osiągnięty, jeżeli tym wszystkim, którzy nawet nie słyszeli o św. Tomasz z Akwinu, posłuży za zachętę do przeczytania o nim innych, lepszych od tej, prac. Lecz z koniecznego w tym wypadku ograniczenia wynikają już od samego początku nieuniknione następstwa.

Po pierwsze: obszerność opowiadania ze względu na tych, którzy, chociaż św. Tomasz jest im obcy, mogą się nim jednak interesować podobnie jak ja Konfucjuszem lub Mahometem. Chociaż skądinąd istotna potrzeba przedstawienia jasno odcinającego się zarysu tej postaci wymaga wkroczenia w stany myślowe tych, którzy mają inne poglądy. Gdybym pisał szkic o Nelsonie, przeznaczony głównie dla cudzoziemców, musiałbym wyczerpująco objaśnić wiele rzeczy znanych każdemu Anglikowi a opuścić, dla krótkości, wiele szczegółów, o których niejeden Anglik chciałby coś więcej wiedzieć. Jednakże trudno by było nakreślić bardzo żywe i wzruszające opowiadanie o Nelsonie, zupełnie opuszczając fakt jego walk z Francuzami. Tak samo byłoby niestosowne pisząc szkic o św. Tomasz pominąć jego walki z heretykami, chociażby ten fakt był balastem w stosunku do istotnych zamierzeń tej książki. Mogę jedynie wyrazić nadzieję a właściwie przekonanie, że ci, którzy uważają mnie za heretyka, nie będą chyba mieli mi za złe, że wypowiadam swoje własne poglądy, a tym bardziej, że wyrażam przekonania mego bohatera. Ta kwestia zresztą dotyczy tylko jednego punktu tak prostego opo-

wiadania. Mianowicie wypowiedzianego w nim może niejednokrotnie zdania, że schizma szesnastego wieku była właściwie spóźnionym buntem pesymistów trzynastego wieku. Była to pozostałość dawnego purytanizmu augustiańskiego, skierowanego przeciw arystotelesowskiemu liberalizmowi. Bez tej wzmianki nie mógłbym umieścić mojej, historycznej przeciw postaci św. Tomasza w historii. Jednakże całość jest pomyślana jedynie jako surowy szkic postaci w krajobrazie, a nie jako krajobraz z postaciami.

Po wtóre wynika, że przy tak krótkim ujęciu trudno mi wiele powiedzieć o tym filozofie poza wykazaniem, że był filozofem. Dałem tu jedynie, że tak powiem, próbki tej jego filozofii. Wreszcie wynika stąd, że niepodobna we właściwy sposób zająć się jego teologią. Pewna moja znajoma, której wpadł w ręce wybór tekstów św. Tomasza z komentarzem, ufnie zaczęła czytać rozdział zaopatrzone niewinnym nagłówkiem: „Prostota Boga”, po czym odłożyła książkę z westchnieniem i rzekła: „Jeżeli to jest Jego prostota, to czym jest Jego złożoność?” Nie ubliżając temu doskonałemu komentarzowi tomistycznemu, o którym wspomniałem, muszę przyznać, że nie chciałbym, aby niniejszą książkę po pierwszych przeczytanych słowach odłożono na bok z podobnym westchnieniem. Jestem zdania, że biografia jest wstępem do filozofii, a filozofia wstępem do teologii, i że mogę jedynie przeprowadzić czytelnika poza pierwszy etap.

Po trzecie: nie sądziłem za potrzebne uważać na tych krytyków, którzy od czasu do czasu grają rozpaczliwie „dla galerii” i powtarzają za nimi ustępów demonologii średniowiecznej w chęci przeobrażenia współczesnej publiczności używaniem nieznanego dla niej języka. Byłem przekonany, iż ludzie wykształceni wiedzą, że św. Tomasz z Akwinu i wszyscy jemu współcześni zarówno jak wszyscy jego oponenti w późniejszych wiekach wierzyli w czarty i tym podobne zjawiska, ale nie zdawało mi się to godne wzmianki dla tej prostej przyczyny, że nie dopomogłoby do plastyczniejszego odtwo-



*rzenia jego portretu. Co do tej materii nie było bynajmniej nieporozumień między teologami protestanckimi a katolickimi od samego początku istnienia teologii, przy czym św. Tomasz nie odznaczał się specjalnym podkreślaniem tych spraw, a jeżeli to czynił, to bardzo oględnie.*

*Jeśli więc nie rozwijałem tego tematu, to nie dlatego, abym miał jakikolwiek powód do ukrywania tych rzeczy, ale dlatego, że pod żadnym względem nie dotyczą osobiście tej jedynej osoby, którą dać poznać jest tu moim zadaniem.*

*Tak czy owak, nie ma miejsca dla takiej postaci jak św. Tomasz w podobnych ramach.*



## ROZDZIAŁ I

### O dwóch Braciszkach

Niech mi wolno będzie uprzedzić komentarze stając do apelu jako znany śmiałek, który wdziera się tam, gdzie nawet Aniołowie Doktora Anielskiego nie śmieliby stąpać. Niedawno temu napisałem małą książeczkę tego samego typu i tej samej objętości o św. Franciszku z Asyżu – a po pewnym czasie (sam nie wiem kiedy i jak a najbardziej, dlaczego) obiecałem napisać książkę tej samej objętości, czy raczej tej samej szczupłości, o św. Tomaszu z Akwinu. Obietnica ta była franciszkańską jedynie w swej wybuchowości, a ta paralela bardzo daleką od tomizmu w swej logice. Można zrobić szkic św. Franciszka, ale mówiąc o św. Tomaszu, można tylko zrobić jego plan, podobnie jak się kreśli plan labiryntu, choć w pewnym znaczeniu można by ująć opowiadanie o nim równie dobrze w daleko obszerniejszej jak i też w o wiele szczuplejszej książce. To, co istotnie wiemy o jego życiu, zmieściłoby się doskonale na kilku stronach, gdyż nie rozwiewa się on, jak św. Franciszek, we mgle anegdot i popularnych legend. To, co wiemy lub moglibyśmy wiedzieć albo czego byśmy ewentualnie mieli szczęście się nauczyć o jego dziele, zapełni niewątpliwie w przyszłości więcej bibliotek niż to uczyniło w przeszłości. Można było naszkicować zarys św. Franciszka, ale gdy chodzi o św. Tomasza, wszystko zależy od tego, czym będzie ten zarys wypełniony. Opracowanie Poverella w formie miniatury było w pewnej mierze robotą w stylu średniowiecznym, odpowiadającą jego zdrobnień

nazwie. Ale skondensować Niemego Wołu sycylijskiego w pastylkę przechodzi wszelkie kulinarne eksperymenty, w rodzaju włączania wołu do filiżanki. Można by jednak spodziewać się, że da się wykonać zarys biograficzny św. Tomasza dziś, gdy każdy czuje się na siłach do napisania zarysu historii czy jakiegokolwiek innego. Jednakże w danym wypadku wymiar tego zarysu stał się raczej nadmiarem. Nie mamy na składzie sukni, w którą by mógł się pomieścić ten kolosalny braciszek.

Powiedziałem wyżej, że te szkice mogą być jedynie uważane za portrety w zarysie. Ale konkretny kontrast tych dwóch postaci jest tak uderzający, że nawet gdybyśmy obecnie ujrzeni te dwie ludzkie figury schodzące ku nam z pagórka w swych habitach mnisznych, kontrast, który tworzą, wydałby się nam nawet komiczny. Byłoby to tak, jakbyśmy widzieli w oddali sylwetki Don Kiszota i Sanczo Pansy lub Falstaffa i pana Chudogęby. Św. Franciszek był chudym, żywym człowieczkiem, cienkim jak nitka i drgającym jak napięta w łuku cięciwa, a w ruchach podobny był do strzały. Przez całe życie dawał nura, znikał lub gdzieś pędził. Gonił za żebrakami, goły umykał do lasu, wkładał się na obcy statek, wciskał się do namiotu sułtana ofiarowując się wskoczyć do ognia. Musiał być podobny do brązowego szkieletu jesiennego liścia wirującego w wiecznym tańcu na wietrze; w rzeczywistości jednak on sam był wiatrem.

Św. Tomasz był wielkim, ciężkim człowiekiem, podobnym do wołu, tłustym, powolnym i spokojnym; niezmiernie łagodnym i wspaniałomyślnym ale nie bardzo towarzyskim; nieśmiałym niezależnie od pokory towarzyszącej świętości; i abstrahując od starannie ukrywanych doświadczeń z dziedziny transów i ekstazy. Św. Franciszek był tak niecierpliwy, a nawet porywczy, że duchowni, przed którymi nagle się zjawiał, brali go za wariata. Św. Tomasz był tak odrętwiąły i ciężki, że uczniowie w szkołach, w których stale uczył, uważali go za głupca. Istotnie był sam tego rodzaju uczniem, jakich się czasem spotyka, którzy wolą

być uważani za głupców, niż dopuścić, by bardziej przedsiębiorcze półgłówki wdzierały się w ich własne marzenia.

Zewnętrzne te kontrasty zaznaczały się w każdym prawie wypadku u tych dwóch osobistości. Paradoksem u św. Franciszka było, że będąc namiętnym miłośnikiem poezji, nie miał zaufania do książek. W przeciwieństwie do niego św. Tomasz kochał książki i żył nimi, żył życiem uczonego czy studenta z *Opowieści Kantuaryjskich*\*), co to wolał posiadać sto książek Arystotelesa i jego filozofię, niż jakiegokolwiek bogactwa tego świata. Św. Tomasz zapytany, za co najgoręcej Bogu dziękuje, odpowiedział z prostotą: „Za to, że rozumiałem każdą stronę, którą kiedykolwiek przeczytałem”. Poematy św. Franciszka były pełne życia, lecz dokumenty jego pracy były trochę mgliste. Św. Tomasz poświęcił całe życie dokumentowaniu całych systemów literatury pogańskiej i chrześcijańskiej, a przy okazji skomponował hymn, niby człowiek korzystający z wakacji. Obaj święci zapatrywali się na ten sam problemat z różnych punktów widzenia: prostoty i subtelności. Św. Franciszek sądził, że wystarczy otworzyć serce przed mahometanami, żeby odwrócić ich od czczenia Mahometa. Św. Tomasz zaś łamał sobie głowę nad każdym subtelnym, jak włos, odróżnieniem i dedukcją co do Absolutu lub Przypadkowości, jedynie po to, aby ich uchronić od błędnego rozumienia Arystotelesa. Św. Franciszek był synem kupca, właściwie handlowca należącego do klasy średniej, i chociaż całe jego życie było ciągłym buntem przeciw kupieckiemu życiu ojca, odziedziczył jednak po nim szybkość orientacji i łatwość obcowania towarzyskiego, które ze sklepu robią huczący ul, a mimo że był miłośnikiem zielonych pól, można by o nim powiedzieć językiem potocznym, że nie dawał trawie wyrastać pod stopami. Był z tych, których amerykańscy milionerzy i gangsterzy nazywają *live wire*

---

\* *Canterbury Tales* Geoffreya Chaucera (1340–1400) (przyp. tłum.).

– żywym drutem. Charakterystyczne jest u zmechanizowanych, współczesnych ludzi, że nawet gdy usiłują wyobrazić sobie żywą rzecz, mogą ją sobie jedynie przedstawić jako mechaniczną metaforę wziętą z rzeczy martwej. Istnieje taka rzecz: jak żywy robak, lecz nie istnieje: żywy drut. Św. Franciszek byłby z radością uznał siebie za robaka; ale był on robakiem bardzo żywym. Będąc największym przeciwnikiem ideału, dającego się wyrazić hasłem: „idź i zdobywaj”, niewątpliwie zaniechał zdobywania, ale wciąż szedł naprzód dalej.

Św. Tomasz przeciwnie, pochodził ze środowiska, w którym mógłby korzystać z nieróbstwa, i pozostał jednym z tych, których praca ma posmak spokoju leniwca. Był tęgim pracownikiem, a jednak nikt by nie mógł posądzić go o zbyt ni pośpiech. Było w nim coś niewyraźnego, co wyróżnia tych, którzy pracują, chociaż pracować nie potrzebują, gdyż pochodził z możnego domu, a taki spokój może trwać z przyzwyczajenia, mimo że już utracił swoje uzasadnienie. W nim jednak wyrażało się to w najmiłszy sposób, na przykład jego niewymuszoną uprzejmością i cierpliwością. Każdy święty jest człowiekiem, nim się stanie świętym, i z każdego rodzaju i gatunku człowieka może wyrosnąć święty, a większość z nas wybiera – spośród rozmaitych typów – świętego, który odpowiada naszemu usposobieniu. Przyznaję jednak, że chociaż romantyczna aureola św. Franciszka nie straciła dla mnie nic ze swego blasku, to jednak w późniejszych latach dorosłem do odczuwania prawie równie serdecznego przywiązania, a pod pewnymi względami nawet większego, do tego człowieka, który nie zdając sobie z tego sprawy zamieszkiwał i wielkie serce i wielką głowę, tak, jak ktoś, kto odziedziczył obszerny dom i szafuje w nim gościnnością równie szczodra jak przodkowie, choć może mniej świadomie od nich to czyni. Są chwile, w których św. Franciszek, najmniej światowy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po świecie, wydaje mi się prawie za bardzo życiowym.

Św. Tomasz z Akwinu ukazał się znów ostatnio w kulturze wyższych szkół i salonów w sposób, który byłby całkiem zdumiewający nawet dziesięć lat temu. A modne powodzenie, którego stał się ośrodkiem, niewątpliwie bardzo się różni od powodzenia, które uczyniło popularnym św. Franciszka przed dwudziestu laty. Każdy święty jest lekarstwem, ponieważ jest odtrutką. Oto dla czego święty bywa często męczennikiem: biorą go omyłkowo za truciznę, ponieważ jest odtrutką. Widzimy go na ogół, gdy uzdrowia świat przesadzaniem tego wszystkiego, co świat zaniedbuje, a co bynajmniej nie bywa tym samym pierwiastkiem w każdej epoce. Każde pokolenie instynktownie szuka swojego świętego, nie jest on przecież tym, czego ludzie pragną, lecz raczej tym, czego potrzebują. Niewątpliwie jest wiele nieporozumień w słowach skierowanych do pierwszych świętych: „Jesteście solą ziemi”, które spowodowały byłego kajzera do uroczystej uwagi, że to właśnie jego wołowi, byczy Niemcy są solą ziemi, rozumiejąc przez to, że co jest „bycze”, jest najlepsze. Lecz sól nadaje smak i konserwuje wołowinę nie dlatego, że jest do niej podobna, ale właśnie dlatego, że się od niej bardzo różni. Chrystus nie mówił do Apostołów, że są jedynie doskonałymi ludźmi, albo że są jedynymi doskonałymi ludźmi, ale że są ludźmi wyjątkowymi; wiecznie nieokrzesanymi i kłótliwymi; a słowa o soli ziemi są istotnie tak ostre, gryzące i piekące, jak sama sól. I właśnie dlatego, że byli wyjątkowymi ludźmi, nie powinni byli utracić wyjątkowych swych zalet. „Jeśli sól zwietrzeje, czym solona będzie?” Sprawa to daleko ważniejsza niż błahy lament nad ceną najlepszej wołowiny. Jeśli świat rozwija się zbyt po ziemsku, to Kościół może go skarcić, ale gdy Kościół rośnie zbyt po ziemsku, to świat nie może skarcić go odpowiednio za światowość.

Dlatego paradoksem w historii jest to, że każde pokolenie bywa nawracane przez świętego, którego typ jest największym przeciwieństwem epoki. Św. Franciszek wywierał dziwny i pra-

wie niepojęty urok na społeczeństwo wiktoriańskie, na tych Anglików dziewiętnastego wieku, którzy powierzchownie zdawali się być ludźmi zdrowego rozsądku i interesu. Nie tylko dość układny Anglik, jak Mateusz Arnold\*), ale nawet angielscy liberałowie, których on krytykował z powodu ich układności, powoli zaczęli odkrywać tajemnicę Średniowiecza w dziwnym opowiadaniu wyrażonym skrzydlato i ogniście w hagiograficznych obrazach Giotta. Było coś w historii św. Franciszka, co się przebijało przez wszystkie te angielskie zalety, tak osławione i niedorzeczne aż do zalet bardziej ukrytych i ludzkich: istotnej miękkości serca, poetycznej mglistości umysłu, ukochania krajobrazu i zwierząt. Św. Franciszek z Asyżu był jedynym średniowiecznym katolikiem, który rzeczywiście stał się popularnym w Anglii dzięki własnym zaletom. Stało się to w znacznym stopniu wskutek podświadomego poczucia, że świat współczesny zaniedbał te szczególne zalety. Tak więc średnie klasy angielskie znalazły swego jedynego misjonarza w postaci należącej do typu najbardziej przez nie pogardzanego – typu włoskiego żebraka.

Tak jak wiek dziewiętnasty przywiązał się do romantyzmu franciszkańskiego, właśnie dlatego, że zaniedbał był romantyzm, tak wiek dwudziesty, ponieważ zaniedbywał rozum, przywiązuje się dziś do racjonalnej teologii tomistycznej. Do świata, który był zbyt beznamiętnym, chrześcijaństwo powróciło w postaci włości; do świata wzrastającego zbyt dziko chrześcijaństwo powróciło pod postacią nauczyciela logiki. W świecie Herberta Spencera ludzie potrzebowali kuracji na niestrawność, w świecie Einsteina potrzebowali leczyć się na zawroty głowy. W pierwszym przypadku zauważyli fakt, że dopiero po długim poście św. Franciszek zaśpiewał *Hymn do słońca* i pochwałę owocodajnej ziemi. W drugim przypadku już niewyraźnie dostrzegają, że nawet chcąc

---

\* Krytyk angielski, wolnomyśliciel (przyp. tłum.).



tylko zrozumieć Einsteina, należy wpierw zrozumieć pożytek rozumienia. Poczęto się orientować, że skoro osiemnaste stulecie uważało się za wiek rozumu, a dziewiętnaste za wiek zdrowego rozsądku, to stulecie dwudzieste nie może jak dotąd starać się być czymś więcej, jak wiekiem niezwykłego nonsensu. W tych warunkach świat potrzebuje świętego, ale ponad wszystko potrzebuje filozofa. A te dwa przykłady wskazują na to, że świat, oddajmy mu tę sprawiedliwość, instynktownie rozumie, czego mu potrzeba. Ziemia była istotnie bardzo płaską dla tych wiktorian, którzy z uporem powtarzali, że jest okrągła; a Alverno od stygmatów wznosiło się jako jedyna góra wśród równiny. A dla nich istnieje coś bardziej stromego i nawet trudniejszego do pojęcia niż szczyt górski, mianowicie: kawałek prawdziwie solidnego gruntu, poziom człowieka o zrównoważonym umyśle.

W ten sposób za naszych czasów obaj święci oddziaływali na dwa pokolenia: pokolenie romantyczne i pokolenie sceptyczne. Wszakże i w epoce, w której żyli, przeprowadzali to samo dzieło, dzieło, które przemieniło świat.

Tu znowu należałoby przyznać, że powyższe porównanie jest gołosłowne i nie odtwarza zamierzonego obrazu nawet jako fantazja, ponieważ ci dwaj ludzie nie byli nawet z tego samego pokolenia i nie żyli w tej samej epoce historycznej. Jeślibyśmy mieli przedstawić dwóch Braci jako Niebiańskie Bliźnięta, jasną jest rzeczą, że byłiby to św. Franciszek i św. Dominik. Stosunek św. Franciszka do św. Tomasza byłby co najwyżej stosunkiem stryja do bratanka, a w tym wypadku moje fantastyczne wywody wydać by się mogły zgoła żartobliwą wersją piosenki „Tomku ustąp miejsca stryjaszkowi”.

Bo jeśli św. Franciszek i św. Dominik byli wielkimi niebiańskimi bliźniętami, to oczywiście Tomasz był pierwszym wybitnym synem św. Dominika, tak jak nim był św. Bonawentura względem św. Franciszka. Niemniej mam powód (właściwie dwa

powody) wprowadzić do tekstu dwa opowiadania z dwóch tytułowych stron i postawić św. Tomasza obok św. Franciszka zamiast wiązać go z franciszkańskim Bonawenturą. A to dlatego, że to porównanie, jakkolwiek pozornie dalekie i przekrętne, jest rzeczywiście najprostszym skrótem do serca historii i wiedzie nas najkrótszą drogą do istotnej sprawy życia i dzieła św. Tomasza z Akwinu. Wielu bowiem ludzi ma obecnie w pamięci prymitywny lecz malowniczy obraz św. Franciszka z Asyżu. A najkrótszym sposobem, jak wyrazić sprawę św. Tomasza, będzie to objaśnić, że chociaż ci dwaj ludzie różnili się od siebie każdym prawie rysem, w rzeczywistości jednak robili to samo. Jeden robił to w świecie umysłowym, drugi w świecie świeckim. Ale był to jeden i ten sam wielki ruch średniowieczny, dotychczas zawsze jednak mało rozumiany. W pojęciu konstruktywnym był on ważniejszy od Reformacji. Co więcej w konstruktywnym sensie był on samą Reformacją.

Co do tego średniowiecznego ruchu przede wszystkim należy podkreślić dwa fakty. Nie są one oczywiście faktami sprzecznymi, lecz są może odpowiedzią na sprzeczne złydy. Po pierwsze: wbrew wszystkiemu, co się kiedykolwiek mówiło o przesądach *Wieków Ciemnoty* i jałowości scholastyki, był to jednak pod każdym względem ruch pogłębiający, stale dążący ku większemu światłu a nawet ku większej wolności. Po drugie: pomimo wszystko, co się później mówiło o postępie, Odrodzeniu i zwiastunach myśli współczesnej, ruch ten był zawsze całkowicie ruchem prawowiernego zapału teologicznego, roznieconego z wewnątrz. Nie był on kompromisem ze światem czy poddaniem się poganom lub heretykom, albo tylko zapożyczeniem pomocy zewnętrznej, gdy nawet jej zapożyczał. W miarę jak wychylał się na światło dnia powszedniego, było w tym jakby działanie rośliny, która o własnych siłach zwraca listki ku słońcu, nie zaś jak działanie obce dopuszczające tylko światło dzienne do więzienia.

Słowem ów ruch był tym, co się technicznie określa jako rozwój w doktrynie. Ale zdaje się, że panuje dziwne niezrozumienie nie tylko technicznego, ale i zwyczajnego znaczenia słowa rozwój. Krytycy teologii katolickiej zdają się sądzić, że jest to nie tyle ewolucja, co ucieczka; a w najlepszym razie adaptacja. Wyobrażają sobie, że prawdziwym jego powodzeniem jest powodzenie w poddaniu się. Ale to nie jest prawdziwe znaczenie słowa „rozwój”. Gdy mówimy o dziecku prawidłowo rozwiniętym, mamy na myśli, że wyrosło większe i silniejsze o własnej sile, a nie że wypchano je poduszkami i że chodzi na szcudłach, aby wyglądać wyższe. Kiedy mówimy, że szczenię wyrosło na psa, nie twierdzimy, że jego wzrost jest stopniowym kompromisem z kotem, lecz mamy na myśli, że szczenię staje się coraz bardziej psim, a nie coraz mniej. Rozwój jest ekspansją wszystkich możliwości i zawartości doktryny aż do chwili, kiedy należy je posegregować i niektóre odrzucić, a najważniejszym punktem jest to, że rozwój średniowiecznej teologii był po prostu całkowitym jej ujęciem. Jest sprawą pierwszorzędnej wagi najprzód uświadomić sobie ten fakt co do epoki wielkiego Dominikanina i pierwszego Franciszkanina, ponieważ ich tendencje humanistyczne i naturalistyczne pod wielu względami były prawdziwie rozwojem najwyższej nauki, która była zarazem dogmatem wszystkich dogmatów. W tym właśnie popularna poezja św. Franciszka i niemal racjonalistyczna proza św. Tomasza objawiają się najbardziej żywotnie jako część tego samego ruchu. Są oni obaj olbrzymami katolickiego rozwoju zależnymi od rzeczy zewnętrznych jedynie o tyle, o ile każda żyjąca i rosnąca rzecz jest od nich zależna, to znaczy gdy przetrawia je i przemienia, ale idzie dalej z własnym, nie zapożyczonym od nich obliczem.

Buddysta może śnić o dwóch rzeczach, które jednocześnie wzajemnie się pozerają, jako o doskonałej formie zjednoczenia. Ale inaczej ma się sprawa z żywymi istotami. Św. Franciszek rad nazywał siebie Trubadurem Bożym, ale nie był rad z Boga Truba-

durów. Św. Tomasz nie godził Chrystusa z Arystotelesem, ale Arystotelesa godził z Chrystusem.

Tak, pomimo kontrastu równie wyraźnego a nawet śmiesznego, jak porównanie człowieka tłustego z chudym, a człowieka wysokiego z niskim, pomimo kontrastu pomiędzy włóczęgą a uczonym, terminatorem a arystokratą, pomiędzy człowiekiem nienawidzącym ksiązek a kochającym je, pomiędzy najdzikszym z misjonarzy a najłagodniejszym z profesorów, wielkim faktem średniowiecznej historii jest ten, że ci dwaj ludzie wykonywali to samo wielkie dzieło, w pracowni jeden, a na ulicy drugi. Nie wnoszą oni do chrześcijaństwa nic nowego w rozumieniu czegoś pogańskiego lub heretyckiego, przeciwnie wnoszą do chrześcijaństwa chrześcijaństwo. Ale zwracają ją wbrew naciskowi pewnych historycznych tendencji, które ustaliły się, jak zwyczaj w wielu wielkich szkołach i autorytetach, u władz chrześcijańskiego kościoła, a używają przy tym narzędzi i broni, które wielu wydawały się związane z pogaństwem i herezją. Św. Franciszek używał natury, jak św. Tomasz Arystotelesa, a niektórym to się zdawało wprowadzaniem pogańskiej bogini i pogańskiego mędrca. To, co czynili w rzeczywistości, a zwłaszcza co rzeczywiście czynił św. Tomasz, będzie główną treścią tych stron. Jednakże nie od rzeczy było, nim do tego przystąpimy, porównać go ze świętym cieszącym się większą niż on popularnością, ponieważ w ten sposób możemy zestawić treść tej książki w najpopularniejszy sposób. Może to brzmieć będzie zbyt paradoksalnie, gdy powiemy, że ci dwaj święci wybawili nas od duchowości. Sąd to okropny. Może też będzie to źle zrozumiane, jeśli powiem, że św. Franciszek swoją wielką miłością dla zwierząt wybawił nas od buddyzmu, a św. Tomasz całą swą miłością dla greckiej filozofii uratował nas od platonizmu. Ale najlepiej będzie wyrazić prawdę w jej najprostszej formie, a mianowicie, że obydwaj potwierdzili Wcielenie, sprowadzając Boga z powrotem na ziemię.